



Jarosław Kalinowski

■ Mleko rozlało się przed kolacją

To wydarzenie jest dla mnie bardzo ważne i takim pozostanie już do końca. Uczestniczyłem w czymś epokowym dla Polski. Oto pierwszy raz w naszych dziejach staliśmy się członkiem europejskiej strefy bezpieczeństwa i rozwoju. Strach pomyśleć, gdzie byśmy byli, gdybyśmy nie byli w Unii Europejskiej? Zwłaszcza teraz, w obliczu wojny w Ukrainie i aspiracji Putina.

Jesteśmy pierwszym pokoleniem Polaków, które nie doświadczyło okrucieństwa wojny. W całej swojej historii Polska nie była tak bezpieczna i nie rozwijała się tak dynamicznie. Nigdy tak szybko nie odrabialiśmy zaległości i zapóźnień w stosunku do państw zachodnich. Jestem dumny, że uczestniczyłem w wydarzeniach, które o tym ostatecznie przesądziły, że dołożyłem swoją cegiełkę. W miesiącach, tygodniach i dniach przed Kopenhagą nie było dla nas nic ważniejszego niż członkostwo w Unii. Jestem przekonany, że do dziś dla Polski nie ma nic ważniejszego.

Dwadzieścia lat temu, 12 grudnia, jechaliśmy na lotnisko prosto z Pałacu Prezydenckiego od pana prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego, którego imieniny zbiegły się z ostatnimi pożegnaniami, uwagami i radami przekazywanymi delegacji.

– Pamiętajcie – mówił prezydent – że nie jedziecie negocjować tylko izoglukozy...

Wcześniej tłumaczyłem mu, że mamy problem ze światową firmą, która zainwestowała w Polsce duże pieniądze w linię produkcyjną izoglukozy (syrop mający szerokie zastosowanie w przemyśle spożywczym). Tymczasem proponowane nam przez Unię limity produkcyjne znacząco te możliwości ograniczały. Prezydent jednak chciał zwrócić uwagę, że izoglukoza to mimo wszystko jest problem nieporównanie mniejszy niż członkostwo Unii i żeby nie tracić z pola widzenia proporcji.

Po wyładowaniu w Kopenhadze premier Miller w swoim pokoju hotelowym zwołał krótką naradę całej delegacji. Okazała się wcale nie taka krótka i dość nerwowa. Nie było tajemnicą, że problemy związane z rolnictwem także na posiedzeniach rządu wywoływały czasem bardzo duże emocje. Mówiłem, że musimy postawić warunek o dopłatach bezpośrednich do rolnictwa: ich wysokość powinna wynosić co najmniej 75–80 proc. tego, co dostawali rolnicy zachodni. Tydzień

wcześniej na Radzie Ministrów obradowaliśmy na ten temat od 8.30 do 22.00. Emocjonalnych momentów – i w Warszawie, i na koniec w Brukseli – nie brakowało. Niespodziewanie minister Truszczyński, nasz główny negocjator, poinformował nas, że z jego rozeznania wynika, iż wszystkie sprawy z obszaru rolnictwa w dalszym ciągu są otwarte! Tydzień wcześniej niemal koalicja się o to rozpadała, a tu nagle „otwarte”! Naprawdę trzeba było mieć stalowe nerwy, żeby te skoki nastrojów, gwałtowne nadzieje i obezwładniające zwątpienia wytrzymać...

Pierwsze spotkanie premiera Millera z premierem Danii, sprawującej wtedy tzw. prezydenturę w UE, Rasmussenem pamiętam doskonale. Premier Miller poinformował go, że są obszary, które chcielibyśmy przedyskutować, gdyż w naszej opinii one nie są jeszcze ostatecznie zamknięte. To znaczy my nie możemy przyjąć proponowanych nam warunków.

Rasmussen wysłuchał tego wszystkiego, po czym zwrócił się do Millera, żebyśmy jako polska delegacja zastanowili się, czy my w ogóle chcemy zakończyć dzisiaj negocjacje i przystąpić do Unii? Proponował, żebyśmy zeszli z chmur na ziemię.

W naszych propozycjach z grubsza chodziło o to, żeby zwiększyć pulę środków przeznaczonych dla Polski o 2 mld euro. Ostatecznie się one znalazły – nie wprost z budżetu unijnego, ale poprzysuwano w tym budżecie trochę tu, trochę tam i udało się!

Niemniej sprawy rolnictwa pozostawały niezamknięte, a ja nie mogłem i nie chciałem z naszych postulatów rezygnować. Atmosfera była nerwowa. Wieczorem miała się odbyć uroczysta kolacja, którą dla uczestników szczytu wydawała królowa Danii. Kolacja wcześniej była obiadem, ale na skutek przeciągania się rozmów, zmieniła się właśnie w kolację. Ostatecznie do kolacji też nie doszło, bo ciągle nie osiągnęliśmy porozumienia. Na stole negocjacyjnym pozostało polskie mleko, a konkretnie kwoty produkcyjne. Wtedy jeszcze – żeby zadbać o interesy wszystkich europejskich producentów w miarę sprawiedliwie – produkcja mleka w Unii była reglamentowana. Każde państwo obowiązywały limity, których musiało przestrzegać. Jednak produkcja mleka w Polsce była już tak duża, że kwota hurtowa poniżej 8,5 mln ton oznaczałaby katastrofę dla całego sektora. Przypomnę, że Komisja proponowała jedynie 7,02 mln ton. Plony referencyjne i wielkość produkcji z kolei wpływały na wysokość dopłat i czas dochodzenia do pełnych płatności. Miało być początkowo dziesięć lat, skończyło się na siedmiu. A to są naprawdę ciężkie miliardy. Z różnych względów więc kwoty mleczne były dla mnie w tym momencie kluczowe.

Premier Miller o wszystkim ode mnie wiedział, zdawał sobie sprawę, że do innego rozwiązania ręki nie przyłoży. Dziś, gdy działamy już na wolnym rynku, Polska jest wiodącym eksporterem – prawie 40 proc. polskiej produkcji mleka to jest eksport. Gdybyśmy wtedy nie mogli rozwinąć tej produkcji i dzisiaj eksportować, to byśmy się utopili we własnym mleku! Ale negocjacje wyglądały tak, że wszyscy je ukończyli, tylko Polska nie. Z powodu kwot mlecznych.

W pewnym momencie premier Miller nie rozmawiał tylko z Rasmussenem, ale z całą piętnastką unijnych premierów. Pamiętam, dwukrotnie wychodził do mnie były premier Włoch, wtedy szef Komisji Europejskiej, Romano Prodi i informował, że dostaliśmy najpierw 7,5 mln, a następnie 8 mln ton. Moja odpowiedź była niezmienna, upierałem się przy minimum 8,5 mln ton. Wtedy premier Miller zadzwonił do prezydenta Kwaśniewskiego z sugestią, żeby na mnie wpłynął. Nie wpłynął. Nie wiem, który z nich, ale któryś powiedział, że został im już tylko telefon do Witosa, ale niestety nie znają numeru...

Doszło w końcu do dramatycznej rozmowy między nami dwoma, między mną i Millerem. Stailiśmy na schodach, wszyscy się rozstąpili, żebyśmy nie czuli się skrępowani. Premier zapropono-

wał, żebym usiadł do stołu z całym prezydium rządu – odbędzie się głosowanie, ja się wstrzymam i zachowam twarz. Odpowiedziałem – nie.

– Co zrobisz więc, jak wrócimy do kraju?

– Finał może być taki, że nie będzie koalicji...

Miller wrócił do swoich kolegów – premierów „piętnastki” i powiedział, że mamy nie tylko problem ekonomiczny, ale już polityczny. W Polsce koalicja może upaść, a to z kolei spowoduje problem z referendum – wieś na pewno zagłosuje przeciwko Unii. Podobno zapadła cisza, którą przerwał któryś z premierów:

– Przecież nie narazimy przyszłości Unii z powodu pół miliona ton mleka!

Jak ten kamień spadł nam z serca, to huk słyhać było chyba w całej Europie! Radość nieopisana.

Teraz opowiadam, jaki byłem twardy, ale przecież zdawałem sobie sprawę, że uczestniczę w czymś wielkim, epokowym i też przecież nie chciałem przyczynić się do niepowodzenia, do zaprzepaszczenia szansy, przed którą Polska stanęła. Wspominam te chwile z wielkim rozrzewnieniem i z wielką dumą, że historia dała mi tę możliwość. I jeśli dziś słyszę te wszystkie złorzeczenia wymierzone w Unię, negowanie znaczenia naszego członkostwa w niej dla rozwoju i dobrobytu Polski, to w moim przekonaniu jest to zdrada interesów narodowych. Obłąd po prostu. Używam tego słowa świadomie, za marszałkiem Sejmu Aleksandrem Małachowskim. Pamiętam, kończyła się debata nad ratyfikacją układu o stowarzyszeniu Polski ze wspólnotami europejskimi. Marszałek Małachowski prowadził obrady i przed głosowaniem krótko ją podsumował **„Wejść na drogę integracji, dostosować system prawny, dokonać transformacji gospodarki we wszystkich aspektach to jest szaleństwo, ale nie wejść na tę drogę, to jest obłąd”**.

Dzisiaj PiS wypycha nas w odmęty obłądu. To jest dla mnie coś nieprawdopodobnego! PiS oszukuje ludzi. Wszystkich, zwłaszcza na wsi. Mami ich fałszywą miłością, wypłaca trzynastki i czternastki, obiecuje piętnastki, a tak naprawdę wyprowadza Polskę z Unii! I ludzie się na to nabierają. A przecież 20 lat temu eksportowaliśmy artykułów rolno-spożywczych za 5 mld euro, importowaliśmy za 6 mld i mieliśmy miliard euro deficytu. W ubiegłym roku wyeksportowaliśmy za 37 mld euro, a import to było około 24 mld – czyli mamy 13 mld euro nadwyżki! Postęp jest nieprawdopodobny. Ale PiS gotów jest to wszystko poświęcić w imię obrony swej niekonstytucyjnej, zamordystycznej, niegodnej nowoczesnego państwa Unii Europejskiej reformy wymiaru sprawiedliwości. Powtórzę – to jest obłąd! Zapłacimy za to wszyscy, ale najwięcej ci, którzy uważają się dziś za głównych beneficjentów rządów PiS. Obszary biedy znów się rozrastają i to pomimo PiS-owskich programów socjalnych. Bez unijnych pieniędzy będzie tylko gorzej, bo rachunek za całą politykę gospodarczą PiS będzie słony.

Wierzę jednak, że w przyszłym roku zatrzymamy ten obłąd za pomocą karty wyborczej. Nie będzie łatwo, ale damy radę! Wieś już się budzi. Wrócimy na właściwe miejsce pośród państw Unii i znów będziemy współtworzyć jej przyszłość.

Jarosław Kalinowski

*W latach 2001–2003 był wicepremierem, ministrem rolnictwa i rozwoju wsi;
od 2009 roku poseł do Parlamentu Europejskiego.*